

R E L A C J A

p. Czesława ŁOTAREWICZA

nagrana w październiku i listopadzie 1990 r. przez Tomasza Gleba



Urodziłem się na Nowogródzczyźnie, powiat Lida. Rodzice mieli 12-hektarowe gospodarstwo. Tam spędziłem dzieciństwo, ukończyłem szkołę powszechną. Od najmłodszych lat byłem związany z harcerstwem. W wojnie obronnej 1939 roku udziału nie brałem, byłem jeszcze za młody. Ojciec został zmobilizowany do odsyłania koni dla wojska polskiego. Po kilkunastu dniach wrócił do domu.

17-go albo 18-go września wkroczyła Armia Czerwona. Wyglądali bardzo ubogo. Na skrzyżowaniach, na drogach wylapywali polskich żołnierzy wracających z frontu, odbierali broń i odsyłali w nieznanym kierunku. Potem aresztowali policjantów, adwokatów, księży, sędziów. Potem zamożnych ludzi. W lutym 1940 nastąpiła bardzo duża wywózka. Wielu naszych znajomych i sąsiadów zostało wywiezionych. Na naszym terenie mieszkało dużo legionistów, oni i ich rodziny były przeważnie wywożone. Część nie dała się zaskoczyć, ukrywała się. Nasza rodzina przygotowywała się na wypadek wywiezienia; wszystko było spakowane, suszyliśmy suchary i prawie nie nocowaliśmy w domu.

Tak ukrywaliśmy się do wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej.

Chyba w końcu 1939 roku niedaleko mojej miejscowości Rosjanie zaczęli budowę lotniska. Zabrali ^{setki} ~~tysiące~~ hektarów ziemi, wykarczowali lasy, spędzili ludzi do pracy - trochę za pieniądze, trochę przymusowo, ale co najważniejsze - sprowadzili tam bardzo dużo więźniów z Rosji, z dużymi wyrokami. Kiedy wybuchła wojna niemiecko - rosyjska niemal wszyscy ci więźniowie - kilka tysięcy bosych, obdartych ludzi - zostali na tym terenie i założyli bandy, które grabiły ludność. Niemcy zaczęli ich wylapywać, znęcali się nad nimi.

Pod koniec 1941 roku dowiedziałem się, że coś się organizuje, ale co to takiego, do mnie i do moich kolegów nie dotarło.

3 maja 1942 roku złożyłem przysięgę i wstąpiłem do Armii Krajowej. Nasza placówka była duża, dowódcą był ppor. Władysław Mickiewicz, pseudonim "Wnim". Zabraliśmy się do solidnej roboty: przeszkolenie bojowe, prawie co noc ćwiczenia, kursy minerskie, strzeleckie i inne. Potem nastąpiły akcje bojowe: rozbijanie mleczarni, posterunków w miasteczku, odbicie więźniów w Dworzyszczach i inne.

Ja i kilku moich kolegów byliśmy zupełnie ujawnieni - ludność wiedziała, że jesteśmy w AK. Kiedy kilku chłopaków z oddziału wpadło, baliśmy się, że nie wytrzymają tortur i dowódca oddziału polecił nam, żebyśmy odeszli do oddziału leśnego. 6 stycznia 1943 przyjechał do mnie kolega Czesiek Czajkowski, który też musiał iść do leśnego oddziału, i łączniczka Władzia Olczyk odwiozła nas na punkt kontaktowy, skąd po kilku przerzutach dotarłem do oddziału nr 314 /później był to II Batalion 77 Pułku Piechoty Okręgu Nowogródzkiego/. Zostałem wcielony do 4 kompanii, którą dowodził porucznik "Oleś" - Aleksander Dziakiewicz. Dowódcą batalionu był porucznik "Kryś" - Jan Borysewicz.

Brałem udział w wielu akcjach i bitwach naszego batalionu. Najważniejsze z nich to:

- likwidacja posterunku w Szelawie,
- zdobycie Ostkomendantury w Koleśnikach,
- rozbicie dużego punktu oporu w Koleśnikach-Koniawie,
- 6 stycznia 1944 odbicie przewożonych przez gestapo więźniów i zakładników pod Wiewiórą i Wasiliszkami,
- 17-18 stycznia 1944 uwolnienie więźniów z więzienia w Lidzie ^{osobiście nie brałem udziału,} /w tej akcji byłem w obstawie, do więzienia weszło 11 osób, które umiały mówić po niemiecku/,
- 31 stycznia 1944 rozbicie fortyfikacji niemieckich w Horodnie i Horodence.

Następnie nasza batalion został skierowany w kierunku granic Rzeszy w celu zdobycia umocnień niemieckich i broni /Marcieńkańce, Szumy, Krąszle i inne punkty/. W tej akcji zostałem ranny w ^{ramię} głowę. Leczyłem się w szpitalu konspiracyjnym koło Paszkowicz. Po podleczeniu wróciłem do oddziału do kompanii szóstej porucznika "Wiesława" - Kazimierza Krzywickiego. Został on odbity właśnie z więzienia w Lidzie, wcześniej był dowódcą ^{lidzkiego} ~~okreś~~ obwodu AK.

Następnymi akcjami było:

- zdobycie miast Raduń i Ejszyszki,
 - zlikwidowanie transportu samochodowego z bronią i amunicją,
 - zajęcie miasteczek Sobotniki i Gieraniony,
- oraz wiele innych.

W lipcu 1944, po akcji "Burza", nasze oddziały spotkały się z pierwszą linią frontu białoruskiego. Po kilku dniach otrzymaliśmy rozkaz od dowódcy zgrupowania "Północ" generała "Wilka" - Aleksandra Krzyżanowskiego przegrupowania się do Wilna na koncentrację oddziałów AK, gdzie miało odbyć się przeszkolenie, przydział do poszczególnych formacji i transport na front.


Około 18 lipca 1944 zbliżaliśmy się do Wilna. Doszła do nas wiadomość, że generał "Wilk" został podstępnie aresztowany w Wilnie przez NKWD. W kilkanaście godzin później batalion nasz został okrążony przez Armię Czerwoną i wojska NKWD. Samoloty rzuciły moc ulotek z żądaniem bezwarunkowego złożenia broni. Skierowano nas do wsi Gudełki, tam nastąpiło złożenie broni.

Około godziny 23-ej z kilkoma kolegami i z bronią spróbowaliśmy wyczołgać się z tego okrążenia. Udało nam się. Po półtorej godzinie weszliśmy do dużego lasu i tym lasem uciekaliśmy dalej. Naraz usłyszeliśmy: "Ręce do góry, podać hasło". Zatrzymały nas pierwsze czujki batalionów AK, które zdążały do Wilna na koncentrację. Doprowadzono

nas do dowódcy kompanii, gdzie opowiedzieliśmy o ucieczce. Nie bardzo wierzano nam, musieliśmy złożyć broń i czekać. Po kilkunastu minutach zaczęto łapać innych uciekinierów z Gudełek i z innych miejscowości, gdzie składano broń.

W związku z tym bataliony i brygady, które szły do Wilna, zatrzymały się, a ponieważ trudno było utrzymać duże formacje, zalecono podzielić się na małe oddziały. Zostaliśmy na tyłach Armii Czerwonej, ale był wyraźny rozkaz, żeby nie prowadzić żadnych walk z tą armią, chyba że w obronie własnej.

Kiedy 1 sierpnia 1944 wybuchło Powstanie Warszawskie Stalin wydał rozkaz odcięcia całych dywizji na tereny wschodnie. Zrobiono tam olbrzymią obławę, sprawdzano każdy krzaczek, palono wsie, czy byli tam partyzanci, czy nie. Jeżeli byli, nie ^{zawsze} aresztowano ich, ^{czasem} tylko zamknięto w stodole i podpalano. Znam wiele takich przykładów. Tych, którzy wrócili do domów i bez broni ukrywali się często zakłuwano bagnetami. Było trzech braci ~~Stepanowiczów~~: ~~Stanisław~~, Janek i Stefan, ^{Edek i Jurek Stanisławy} jeden z nich właśnie tak zginął.

Zostałem dowódcą jednego z małych leśnych oddziałów, mianowany przez pełnomocnika rządu /choć nie jestem przekonany/, albo przez pełnomocnika wojskowego na tamten teren. ^{o obecności (por. Wyma) i oddziału} Były ciągłe obławy, więc musieliśmy przemieszczać się z miejsca na miejsce. Trzykrotnie wychodziliśmy z takich sytuacji, z których zdawało się nie powinniśmy wyjść: my, mały oddział 12 - 20 ludzi, a naokoło kompania, może dwie, okrążenie. W jednej z obław zostałem ranny. Znalazłem się w polowym zakonspirowanym szpitalu.  Za stodołą gospodarstwa, pod stogiem wykopany był schron i tam był dowożony codziennie lub co drugi dzień lekarz. Było nas w tym schronie czterech partyzantów.

24 października 1944 roku przyszła do mnie moja mama. To znaczy mama dowiedziała się, że jestem ciężko ranny i gdzie się znajduję.

⊛ Po kilkunastu dniach przewieziono mnie i innych rannych do innego punktu.

Ale nie wiedziała, że cały ~~nasz~~ nasz dom był ciągle pod obserwacją. Była akurat niedziela, mama wyszła do kościoła wcześniej i przysłała do tej zagrody. Powiedziała, że jest moją matką i chce mnie zobaczyć. Łęczniczka zastukała w zamaskowane wejście do schronu i ja wyszedłem. Zacząłem iść w stronę domu. Gdy byłem w połowie drogi, ze wszystkich stron wyskoczyli do mnie żołnierze rosyjscy. Miałem przy sobie tylko krótką broń. Rzuciłem się do ucieczki, wyrzuciłem pistolet. Daleko jednak uciec nie mogłem, zaraz odkryła się rana, poczułem, że mam w butach pełno krwi. Zostałem złapany i odprowadzony na plebanię kościoła w Trokielach. Był tam areszt NKWD; zatrzymanych zamykano w spichrzu^{i stodołę}, od razu intensywne przesłuchania, bicie, skąd pochodzę, gdzie oddziały itd. Pytali, kto należy do organizacji, bo o mnie mieli dość ^{obrzędną} pełne rozeznanie. Tortury były ciężkie. Wstyd powiedzieć - zabrudziłem się, polało się ze mnie ze wszystkich stron. Nie mogłem wytrzymać bicia i tego wszystkiego... Na drugi dzień rano przysłała moja mama, przyniosła bieliznę. Byłem zbity, wysmarowany, śmierdziało ode mnie. Włożyłem czystą bieliznę.

Ładowano nas na samochody, nie tylko żołnierzy AK ale każdego, kogo złapali. Związano nas, przywiązano do platformy samochodu. Zawieziono nas do więzienia w Lidzie tego, które kiedyś wyzwalailiśmy. Tam znów przesłuchania, tortury, bicie, ^{Kawcervy} izolatory. Jeden raz wrzucono mnie do ^{Kawcervy} ~~izolatora~~ z wodą. Ciemno, żadnej żaróweczki, zimno. Człowiek tuli się do ściany, swoim ciałem grzeje ścianę. Nogi bolą, puchną. Człowiek zaczyna szukać jakiegoś oparcia. Wyciągnąłem ręce na boki, zrobiłem krok do tyłu - i wtedy poczułem, że coś jest w tej wodzie. Zacząłem szukać nogami, rękami i w pewnym momencie tak się przestraszyłem, że mało nie umarłem. Wstyd mi o tym mówić, ale taka była prawda. Mnie się zdaje, że każdy się boi, nie ma takich zupełnych bohaterów, co mówili, że idąc na akcję nie bali się. Ja zawsze się bałem ^{wykonywałem zadanie} - ~~robiłem~~, i bałem się. I tu, kiedy natrafiłem na twarz trupa, tak się przestraszyłem

tem, że mało nie ^{zemdlałem} ~~umarłem~~. Ale powoli zacząłem rozmyślać, że trzeba raczej żywego się bać. Nawet ośmieliłem się i usiadłem na niego.

Z początku wszystkiego wypierałem się. Potem, gdy podstawiono mi naocznych świadków - przyznałem się. Osądzony zostałem w lutym 1945 roku w Lidzie ^{podczas} wjazdowej sesji trybunału wojskowego. Dostałem wyrok 10 lat więzienia.

Zostałem odprowadzony do celi pojedynczej, bez pryczy, bez niczego. Tam siedziałem 3-4 dni, potem przeniesiono mnie do celi ogólnej. Było tam kilku moich kolegów, od których dowiedziałem się, że dowódca naszego batalionu porucznik "Kryś" został zastrzelony ^{w obławie} przez NKWD i przewieziony na dziedziniec więzienny. Leżał na saniach, a z cel wyprowadzano akowców na rozpoznanie. Dowiedziałem się też, że w Lidzie został powieszony na rynku Pazurkiewicz. Był on dowódcą oddziału albo okręgu. W Trokielach został też powieszony dowódca placówki Władysław Mickiewicz - "Wnim", z którym razem byłem sądzony.

Pod koniec lutego 1945 ^{przygotowano} zorganizowano transport i załadowano nas do towarowych wagonów. Cały czas jeszcze myśleliśmy, że nas odbiją, ale nic takiego nie stało się. Po 7 - 10 dniach rozładowano nas w Orszy ^(w miejscowości "Kresty" / Kresy) albo Witebsku, nie pamiętam, i ciężarówkami odwieziono do łagru "Kresy".

Były tam kamieniołomy. Obóz dopiero organizował się, nie było kuchni, po paru dniach przywieźli kocioł, zawiesili na żerdziach, wsypali tam co tylko było można i to była nasza zupa. Nie było baraków, dopiero zaczęliśmy je budować. W obozie było parę tysięcy ludzi, głównie Polacy, trochę Rosjan.

Po paru tygodniach zaczęliśmy organizować ucieczkę: Szamrej Mieczysław, Siergień Bolesław i ja. Myśleliśmy tak: jesteście jeszcze niedaleko Polski, siły nas z każdym dniem opuszczają. Wszyscy trzej byliśmy żołnierzami AK, partyzantami. Zaczęliśmy namawiać innych Polaków, szczególnie jednego, który dostał się do krajania chleba. Zależało nam, żeby wziąć więcej chleba ze sobą. Ten człowiek - nazwiska nie pamiętam -

zgodził się.

Nie było łaźni ani ubikacji, po tygodniu cały śnieg dookoła obsi-
kaliśmy. A z tego śniegu trzeba było zupeł- gotować. Gotowe było tylko
ogrodzenie obozu - druty i wyżki.

Za drutami leżał stos pustych puszek po konserwach, którymi żywili
się pilnujący nas żołnierze. Poprosiliśmy, żeby dano nam nożyce do
cięcia blachy i kilku z nas zrobiło z tych puszek kociołki na zupeł-
Wcześniej jedliśmy z wydrążonych w drewnie korytek, lub ^{lepków skrzeczących}
z kory brzozy.

Tego, który dostał te nożyce, także namówiliśmy do ucieczki.
I tak zebrało się nas ^{około} trzydziestu ludzi, sami Polacy. Ale kiedy przysze-
ła noc, kiedy mieliśmy uciekać, nikt z wyjątkiem nas trzech nie przy-
szedł. Ten, co miał nożyce dał nam je, ale powiedział, że nie idzie,
bo mogą go zastrzelić, ryzyko za duże itd.

To był 1 kwietnia 1945 roku i pierwszy dzień Wielkanocy. Śnieg powoli
topnieje, mży deszczyk. Między pierwszym a drugim pasem drutów jest
zabronowana ziemia, między drugim a trzecim chodzi ^{agale} strażnik z psem, i pochodnią.
Na wyżkach siedzieli żołnierze z pochodniami, bo jeszcze nie było elek-
tryczności. Około godziny 23 po cichu wyleźliśmy z baraku i weszliśmy
w krzaki na terenie obozu, które nie zostały jeszcze wytrzebione.
Odczekaliśmy jakiś czas, nikt nie przyszedł. Co robimy? Oni mówią mi:
ty leż przecinaj druty, bo my mamy rodziny, a ty jesteś sam. Podpełzłem
do pierwszych drutów. Kiedy przeciąłem pierwszy drut, zwinął się, za-
dzwoił, echo tak poniosło, że mnie zdawało się, że obóz zadrgał.
To był nasz brak doświadczenia, bo druty są bardzo silnie naprężone i
kiedy przetnie się jakiś trzeba najpierw położyć na nim szmatę albo
kufajkę albo mocno trzymać, żeby on się nie zwijał, nie dzwoił.

Podpełzłem z powrotem pod krzaczki do kolegów. Już chcieliśmy ucie-
kać z powrotem do baraków. Ale posiedzieliśmy - nic się nie dzieje.
Mówię, żeby teraz któryś z nich poszedł. - Aaa, ty już raz przecina-
łeś... Polazłem drugi raz. Przeciąłem drugi pas drutów, został już

tylko trzeci. Chciałem wrócić do kolegów powiedzieć, że mogą już iść, ale nie zdążyłem. Usłyszałem człapanie. Nadszedł strażnik, który chodził z psem dookoła obozu. Położyłem się pod drugim pasem drutów, dalej były 3-4 metry i ścieżka, którą szedł strażnik. I do dziś nie wiem, czym to wytłumaczyć, czy to była Opatrzność Boska? Mży deszcz, ciemna noc, człowiek mógł mnie nie zauważyć, ale przeszli obok mnie i pies, wilczur, nie poczuł?!

Kiedy strażnik przeszedł, polazłem do kolegów i mówię: słuchajcie, co robimy? - Zaczekamy chwilę. Bo myśleliśmy, że on może zauważył mnie, ale bał się? Ale przecież pies narobiłby hałasu?... Postanowiliśmy przecinać ostatni pas drutów i uciekać. Kiedy wyłaziłem spod ostatniego pasa drutów kufajka, którą dawali nam w obozie tak zaplątała się w druty, że musiałem ją zrzucić i zostawić na drutach. I to był ogromny błąd.

Zrobiliśmy trzy wielkie błędy: uciekaliśmy za wcześnie, trzeba było czekać do lata: ciepłej i jagody w lesie; zostawiliśmy tę kufajkę; uciekaliśmy nie wiedząc dokąd, a biegnąc tak człowiek może biec dookoła obozu. A tak uciekaliśmy, bez mapy, bez niczego, przed siebie. Błoto, grzęzawiska, obuwie zostaje w ~~wązku~~ błocie. Dobiegliśmy do rzeczki 5-6 metrów szerokiej i dalej wzdłuż niej nie wiedząc, czy w dobrą stronę, czy w złą. Ale myślimy: każdy mostek jest u nich pilnowany. Postanowiliśmy przejść tę rzekę wplaw. Rzeką płynie lód, woda znosi nas, zamoczyliśmy się aż po głowę, ale pomału dobrnęliśmy do krzaków po drugiej stronie i dalej przed siebie biegliśmy. I wtedy słyszemy: jeden, drugi, trzeci wystrzał - w obozie odkryli ucieczkę. Rzuciliśmy się jeszcze szybciej do ucieczki, byle gdzie, przed siebie.

Dopadliśmy wreszcie większego lasu i tam odpoczęliśmy. Ja po prostu zasłabłem, rana z tyłu otworzyła się, poczułem w butach ciepło, mokro. Już rozwidniło się, a ja nie miałem siły iść dalej. Zacząłem prosić

kolegów, żeby mnie rzucili, żeby sami się ratowali. Ale oni powiedzieli, że mnie nie zostawiają, że jeżeli mamy zostać, to wszyscy.

Nie wiem ile czasu leżałem w tym lesie na polanie, może godzinę, półtorej. Poczułem, że trochę odzyskuję siły i zacząłem iść. Wlekliśmy się tak jeszcze do ok. 16-17-ej następnego dnia. Dotarliśmy do kolei. Wiedzieliśmy, że jeśli będą wieźli działa i czołgi, to znaczy, że w dobrym kierunku idziemy - na zachód. I tak było. szliśmy dalej w tym kierunku zachowując odpowiednią odległość, nie za daleko od torów.

Nie wiedzieliśmy oczywiście wtedy, że za nami puszczono z obozu pogoń z psami. Wysłano także wojsko z innych obozów, z Orszy i z Witebska. I kiedy znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni między jednym a drugim lasem - dostrzeżono nas. Rzuciliśmy się w stronę lasu, ale brakło nam sił. Zostaliśmy okrążeni i złapani. Odwieziono nas do więzienia w Orszy. Pierwsze przesłuchanie. Zbito nas, skopano i wrzucono do celi. Dali znać do naszego łagru i następnego dnia przyjechali po nas enkawudziści. Dranie znów zmaltretowali nas tak, że już myśmy ledwo nogami wlekli. Na dziedzińcu więziennym puścili na nas psy, poobcinali sznurki do wiązania spodni /guzików nie było/, żebyśmy musieli trzymać spodnie w rękach. Załadowali nas na otwarte ciężarowe samochody - oni w białych kożuchach, my rozebrani i okrwawieni, pogryzieni przez psy.

Na drugi czy trzeci dzień nad ranem przywieźli nas do naszego łagru. Obudzili wszystkich i kazali nam mówić, żeby inni nie próbowali ucieczki z obozu, bo uciec nie można. Staliśmy tak, kiedy brygady wychodziły do pracy i kiedy wracały.

Na bramie obozu zbili nas strasznie i zamknęli do jamy na 6 metrów głębokiej, z narzuconymi u góry balami, zasypanymi ziemią. Tam był zrobiony właz zamykany na kłódkę. Więźnia wrzucano, a kiedy trzeba było go wyciągnąć, ^{wstawiano} ~~przystawiano~~ drabinę. Po 3-4 dniach kazano nam

wyjsć. Patrzemy - przyjechał generał rosyjski, naczelnik chyba całego okręgu obozów, ze świtą. Podchodzi - w białym kożuchu, czapie i do nas: Ajajaj, któż to was tak urządził? Pomyślałem, że się nad nami lituje i mówię: Oni. A on jak się ^{wie} odwinie, trzask każdego w zęby, wpadliśmy z powrotem do jamy.

Po paru dniach wywieziono nas w podziemia jakiegoś monastynu czy klasztoru. Byli tam inni uciekinierzy, Polacy. Okazało się, że ok. 60 kilometrów ~~z~~ od naszego obozu uciekało ze trzydziestu Polaków. Dowożono ich samochodami do pracy - w jednym samochodzie rozbroili konwój i uciekli. Część złapanych siedziała z nami, inni tam, gdzie ich złapano: w Orszy, Witebsku itd.

W podziemiach było trochę słomy ale i szczury, wielkie jak koty. Strach było spać.

Potem ~~straszakom~~ odwieziono nas trzech do łagru w Galicynie pod Moskwą. Tam śledztwo: kto organizował, ^{tego namówi} kto ~~mówił~~, czego chciał itd. I wyrok za "pabieg", tj. ucieczkę - lata poprzedniego wyroku, tzn. 10 lat liczyć od nowa.

Więźniów łagru w Galicynie wyprowadzano do robót polowych. Myśmy nie pracowali, siedzieliśmy nie w samym obozie, ale w położonym obok łagru więzieniu. ~~Ala myśmy nie pracowali.~~ Byliśmy w więzieniu przy łagrze. Dopiero po sądzie wprowadzono nas do tego łagru, gdzie nie mieliśmy prawa być jako polityczni. ^{Tylko} ~~Ala~~ czasowo byliśmy tam, kazali nam pilować drzewo dla kuchni.

W końcu maja 1945 roku przyszedł do obozu strażnik:

^{totawecz}
- Czesław Aleksandrowicz! - krzyczy

- Jestem.

- Na bramę.

Przyszedłem na bramę, patrzę - stoi "czarny woron". Powiedziałem imię, nazwisko, imię ojca, za co karany, ile lat, ^{z jakiego artykułu sądzony} Otworzyli drzwi, wchodzić! Z jednej strony trzy przedziały, z drugiej, dziureczki,

żeby powietrze dochodziło. Jeden strażnik do środka, drugi do szoferki. Zauważyłem, że w przejściu dla strażnika leżą dwie łopaty. Byłem sam.

Jechaliśmy. Zmówiłem pacierze, co tylko mi do głowy przyszło. W pewnym momencie zatrzymaliśmy się. Przez te małe otwory ujrzałem drzewa. Byłem pewien, że poszli kopać ^{dot.} ~~cegi~~. Jeszcze bardziej zacząłem się modlić. Ale potem słyszę, że weszli i karetka ruszyła. Strasznie długo – tak mi się zdawało – jechaliśmy. Przywieźli mnie gdzieś i zamknęli w żelaznej szafie.

Była chyba żelazna, takiej wielkości, że mogłem w niej siedzieć /dość długo byłem zamknięty, więc chyba siedziałem?/. Potem zrobili mi odciski wszystkich palców na jednej i na drugiej ręce i dużo zdjęć z profilu i z boku. Przyszedł lekarz, ^{kończ.} pytał, dlaczego jestem taki pobity. Zrobiono opatunki, ście namalowano jakimiś kremenami. Zaprowadzono mnie do celi, zostałem sam. Łóżko chowane w ścianie, taborecik przykuty do podłogi. To była cela numer 64, chyba na czwartym piętrze.

Na drugi czy trzeci dzień zostałem wezwany do śledczego. Dowiedziałem się, że jestem w Moskwie na Łubiance, a jeszcze po paru dniach – że będę zeznawał jako świadek w procesie szesnastu przywódców polskiego podziemia z generałem Okulickim na czele.

Parę przesłuchań w dzień, a w nocy bardzo długie przesłuchania. I już nie po to, żeby coś nowego wydobyć, bo ze mnie nic więcej nie można było! Wszystko obracało się wokół tego, co już powiedziałem wcześniej i za co dostałem wyrok. Nieraz pułkownik prowadził rozmowy zupełnie luźne, puste, niepotrzebne. Na pewno wyciągał jakieś wnioski... Może, czy nie kłamię?...

Śledztwo prowadził pułkownik Potapow. Pamiętam, że jego gabinet był olbrzymi. On zawsze siadał na jednym końcu ^{stołu}, a ja na drugim. Rozumiałem, że nasza rozmowa jest kontrolowana. Chciał, żebym głośno mówił, żeby nie było podejrzeń o potajemne porozumiewanie się między

^{dnia}
nami. Pewnego ~~nocy~~ pułkownik spytał mnie, czy chcę zobaczyć, jak
wygląda Moskwa. Odpowiedziałem, że chcę. Wziął mnie z tyłu za ^{spodnie} pasek
i podprowadził ok. 3 metry do okna. Zobaczyłem daleko ulice Moskwy.

Chyba 17 czerwca wszedł do mojej celi Potapow i jakiś starszyna.
Przynieśli czarne ubranie, koszulę, półbuty, chyba krawat. Przymie-
rzyli i zabrali. Powiedzieli żebym był przygotowany, bo będę zezna-
wał jako świadek w procesie.

18 czerwca rano zostałem załadowany w "czarny woron" i przewie-
ziony do Domu Sojuzów. Proces odbywał się w Sali Kolumnowej.
Zamknięto mnie z jakimś enkawudzistą w ^{matej} celi i cały dzień siedziałem
nie wzywany. Wieczorem odwieziono mnie na Łubiankę, a następnego
dnia znów przywieziono.

Koło południa zostałem wprowadzony na salę rozpraw. Posadzono
mnie na ławie świadków, a po pewnym czasie poproszono, żebym podszedł
do mikrofonu. Jeden z oskarżycieli - Rudenko albo Afanasjew -
odczytał oskarżenie, z którego wcześniej dostałem wyrok. Było to
moje ^{zeznanie} oświadczenie, które złożyłem w Lidzie. Brzmiało mniej więcej
tak, że jako żołnierz Armii Krajowej nie złożyłem broni, ale pozosta-
wałem na tyłach Armii Czerwonej i tam prowadziłem walkę przeciwko
niej. Spytano, czy się przyznaję. Skinąłem głową, że tak.

Nie pamiętam, czy wróciłem jeszcze na ^{tę samą} salę rozpraw. Wieczorem
odwieziono mnie na Łubiankę. Na proces przywożono mnie jeszcze przez
dwa następne dni, ale nie wprowadzano na salę rozpraw.

Po kilku dniach odwieziono mnie do więzienia na Butyrki, a
potem na Krasnopreśny. Przyjeżdżali tam "kupcy" z obozu, trzeba było
rozebrać się do naga, podnieść ręce, pokazać palce, tyłek, nogi.

Stamtąd odwieziono mnie do Biełosielska, do pilowania lasu.

To była chyba Jarosławska obłast. Obóz przestraszenie ciężki.

Ilu tam ludzi umierało!... Codziennie koń z wielką skrzynią podjeżdżał pod baraki, wrzucano szkielety. Straszny widok! - tak, jak człowiek zmarł, tak zastygł! Czy skulony, czy ręce do góry, wrzucano do skrzyni. I tak od baraku do baraku. *W lesie pyłami wyłożenia norami, w tęgim plusku, wony gwałt bandytyzmu.*

Doszedłem do takiego stanu, że nie mogłem chodzić do pracy.

Brygadzysta powiedział, że mnie nie chce, bo jestem zawadą - nawet dojść do pracy nie mogę.

Wysłano mnie i takich jak ja do obozu lżejszego, dla polepszenia zdrowia. Niby tam lepiej karmili, ale przede wszystkim nie pędzili do lasu. Pletliśmy sieci, darliśmy opony samochodowe i szyliśmy z nich buty. *tatałismy jednoręce obrowe ubrania.* Kiedy przywieźli nas do tego obozu, na bramie spotkał nas Rosjanin, *Wizzech,* i mówi do mnie:

- Ty ot kuda?

- Z Lidy.

- Ja znam Lidę - mówi i wymienia ulice w Lidzie. Był tam w 1939 roku, jak Rosjanie weszli do Polski.

Jaki ty masz zawód - pyta mnie.

- Żaden .

- Jesteś dureń. Musisz mieć tutaj zawód. Jak trzeba szewca, to jesteś szewcem, jak stolarza, to stolarzem, jak krawca, to krawcem. Ja jestem szewcem. - *ouchnit.*

- Ale ja nie umiem - mówię - wykonywać takiej pracy.

- Jak nie umiesz, to się musisz nauczyć. Inaczej zdechniesz. Jak będą chodzić i pytać o zawód powiedz, że jesteś szewcem.

I rzeczywiście, wystawili nas potem, chodził naczelnik łagru i pytał, kto ma jaki zawód. I kiedy podszedł do mnie powiedziałem, że jestem szewcem.

- A gdzie się nauczyłeś? - pyta

- Ojciec był szewcem - odpowiadam, bo tak nauczył mnie Fiedia, ten Rosjanin. - Miał prywatny zakład.

I Fiedia zabrał mnie do szewców. Szyło się tzw. czuni, zakrzywionym haczykiem i grubą dratwą. Posadził mnie obok innego szewca i mówi mu: Ty masz go nauczyć i przez parę dni za niego normę wyrabiać. I tak było, ten szewc uczył mnie, a ja mu oddawałem chleb. Po paru dniach umiałem już szyc ^{"czuni"} buty. *(woboj buta wobionych z agin szpon).*

Byłem szewcem chyba 4 miesiące. Trochę poprawiłem się. Nieraz Fiedia zupełnie mi dał, dostawałem z kuchni trochę. Pewnego dnia przyjechali i zabrali mnie do ^{innego} łagru, który splawiał drewno, widocznie to, które obóz w Biełosielsku ścinał. Wiązało się nad stromym brzegiem rzeki po sześć kubików, skręcało się drutami, podbijało podporę i drewno leciało do rzeki. Czasem źle leciało, wbijało się sztorcem w dno, trzeba było rozwiązywać, z powrotem wiązać... Obóz nazywał się Aminiewo. Pracowało się czy lato, czy zima. W zimie rano przypływał lodołamacz, kruszył lód i trzeba było wchodzić do wody, pracować.

W obozie mieliśmy azbestowe koce, ciężkie, chyba ze sto kilo, grube. Takie koce były też w Biełosielsku.

Po około pół roku znów osłabłem, zrobiłem się chudy jak szczapa, nie mogłem chodzić. *(Cale moje ciato pokryto się wrzodami.)* Wysłali mnie znów do łżejszego obozu, na podobne chaziajstwo, do Szeksny.

Budowano tam Rybińskie Morze. Kilofami, taczkami wybudowali tam więźniowie morze. Jest na mapie. Znieśli wieś, miasteczka. Wywieźli samochodami miliony metrów sześciennych ziemi. Potem dobudowano tam hydroelektrostaację. Ja na budowę nie chodziłem. Byłem za słaby. Zamia-
tałem obóz, myłem baraki, naprawiałem prycze.

Rybińskie Morze budowało wiele łagrów. Ten obóz także budował, ale było tu też dużo chorych ludzi, przywiezionych z innych łagrów.

Tam poznałem Lube, Rosjanke, więźniarkę w tym samym wieku co ja.
Była skazana na 4 lata. ^{Zapoznaliśmy się.} Wymieniliśmy adresy. Potem mnie wywieziono,
a ją wypuszczono z obozu i wróciła do Moskwy do rodziców.

Chyba w końcu sierpnia wyczuliśmy, że organizuje się etap.
Pewnego dnia zostałem powiadomiony, żebym ze swoimi rzeczami zgłosił
się na bramę obozową. Tam było już kilkunastu łagrowiczów. Zawieziono
nas do wagonu. Dołączono jeszcze ludzi z innych obozów i załadowano
nas do wagonów towarowych. Transport trwał 2-3 tygodnie i znaleźliśmy
się w Krasnojarsku.

Po wyładowaniu ileś tam kilometrów szliśmy do ogromnego łagru.
Był to ^{główny} "pieresylnyj punkt". Był tam najróżniejszy element: i polityczni,
i bandyci, i złodzieje, i żuliki, taki był bałagan. Bandyci tak buszo-
wali po wszystkich barakach, że nas politycznych spędzili do jednego
baraku, ale tam też się tak wymieszało, że i tam odbierali od nas
chleb, kto co miał. Ja w zasadzie nic już nie miałem oprócz podartej
kufajki, bo przecież wszystko już zostało mi odebrane, po ucieczce
zostałem zupełnie goły.

W łagrze dostaliśmy zupe i w niej znaleźliśmy po raz pierwszy od
tylu lat kawałeczki mięsa. Strasznie cieszyliśmy się. Wszyscy z nas
się bardzo śmiali. Kiedy przyszła nasza kolej iść po zupe ~~do~~ ^{dla} baraku,
widzieliśmy ogromne kości, leżące przy kuchni. Tam dowiedziałem się,
że w ^{misso} ~~były~~ ^{były z misso} morsy, czy jak nazywają się te ssaki... Ale to wcale
nam nie przeszkadzało.

Potem przyjechali "kupcy" z łagrów roboczych i wybierali siłę roboczą:
stolarzy, betoniarzy, cieśli, mechaników i inne zawody.

~~Zakładano nas pod punkady, w barakach, w długich jadalniach i w innych~~
~~rodzajach baraków, chyba do więziennych~~

Nie pamiętam jaki podałem zawód. I tak musiałem trafić do

Norylska. Byłem przeznaczony do łagru katorżniczego.

Załadowano nas pod pokłady w barkach. Długo jechaliśmy w lukach, barki były chyba dwupiętrowe. Nie były przeznaczone do transportu ludzi, przewozili nimi węgiel ^{wapno, cement} i piasek. Było dużo błota. Wpędzili tylu ludzi, wymieszaliśmy błoto, pył, kurz. Po paru dniach jeden drugiego nie poznawał. Nie ma prycz, wszystko stłoczone na podłodze. Strasznie nas stłoczono, nie było czym oddychać, gorąco. Nikt nas nie pilnował, nie było białnych. Było dużo Polaków, między innymi Zygmunt Adamowicz i Kazimierz Przybyłowicz. Innych ^{nazwisk} (nie mogę sobie przypomnieć).

Statek pasażerski płynął z Krasnojarska do Dudzinki siedem dób. My płynęliśmy dłużej. W Dudzince wyładowano nas w październiku i przywieziono do Norylska. Niektórzy więźniowie opowiadali mi, że prowadzono ich pieszo z Dudzinki do Norylska i ciągnęli za sobą sianie z prowiantem.

Część Norylska była już wybudowana, tak zwane Stare Miasto. Za jeziorem Długim budowano Nowy Norylsk. Przywieziono nas do obozu GOR-łag Nr 4 /Gasudarstwiennno - Osobo - Reżimnyj Łagier czyli obóz o zastrzonym reżimie /. Umieścili nas w piętrowych domach, takich jak w mieście, murowanych, z czerwonej cegły. Nie wyglądały wcale na baraki obozowe, były stosunkowo ciepłe, naturalnie otoczone drutami. Powiedzieli nam, że nasz łagier będzie budował hutę miedzi, że będziemy pracowali na Miedstroju. Dali nam cieplejsze ubranie i numery obozowe. Ja otrzymałem numer W- 636. Odtąd rzadko posługiwaliśmy się nazwiskiem.

Na budowie kopaliśmy kotłowany, czyli wykopy pod fundamenty. Trzeba się było dokopać aż do skały, były porobione miotełki z drutu, żeby tę skałę zupełnie wyczyścić, żeby nawet piaseczku nie było. Ziemia w Norylsku odchodzi tylko na jeden sztyk łopaty. Trzeba było palić ogniska, żeby ziemia odmarzła, a kiedy betonowano funda-

ment podłączano prąd, żeby beton nie zmarzł, ale się wygrzewał i powoli nabierał swoich właściwości. Cegły kładziono na zamarznąłą zaprawę i prawdopodobnie dopiero latem ta zaprawa "łapała".

Wykop przykrywaliśmy z wierzchu różnymi deskami i tam zbieraliśmy się we trzech, czterech, pięciu czy sześciu, zależnie od wielkości kotłowni. Modliliśmy się, przyjmowaliśmy Komunię ^{świętą} z chleba, księża odprawiali nabożeństwa. Było w obozie dwóch księży, ale nazwisk nie pamiętam. Spotykaliśmy się, utrzymywaliśmy jakąś religijną więź.

Kilka razy nam się udało. Nie wychodziliśmy z kotłowni całą grupą na raz, tylko pojedynczo, coś udawaliśmy. Ale ktoś w końcu doniósł. Księża dostali wyroki, prawdopodobnie 25 lat. Zabrano ich, nie sądzono w tym łagrze. Wcześniej mieli wyroki po 10 lat. Był to 1948 - 49 rok.

Na początku nie umieliśmy jeszcze dobrze się "kryć". Strasznie łatwo było komuś coś przypisać. Przez to wychodziło dużo wysp, wpadek, nieporozumień.

Czasem zatrzymujemy się z taczkami czy przy paleniu ogniska i rozmawiamy, że jesteśmy tak daleko, że po co nas trzymają, że po co te ogrodzenia, przecież i tak stąd nikt nie ucieknie. Bo przecież nawet gdyby człowieka puścili i kazali iść, to by prosił, żeby go zostawili. I tak sobie dyskutowaliśmy.

Potem w nocy przychodzi nadzirateli i krzyczy przez drzwi do dniwalnego - barak zamykano na noc - żeby wywołał takiego a takiego. Dniwalny krzyczy do drzwi: "W-636 K" śledowatelu! " Podrywam się. Serce bije, nie wiadomo czy wrócę, gdzie trafię. Może do karceru pójdę a może do innej brygady? Człowiek się zżywa z ludźmi, z którymi pracuje...

- O czym rozmawialiście przy kotłowaniu Nr 48 ? /kotłowany były numerowane/

- O niczym nie rozmawialiśmy.

- Jak to o niczym nie rozmawialiście?

- Ależ skąd.

- A wy, i taki, taki i taki staliście we czterech, rozmawialiście i pokazywaliście rękami w tundrę. Wyście organizowali ucieczkę.

Z Norylska nikt nigdy nie uciekł i nikt nie organizował ucieczki. Dokąd pójdzie? Wilki zjedzą, niedźwiedzie rozszarpia. Do Krasnojarska jest ponad 2 tysiące kilometrów...

- A taki w tej grupie był ?

- Był.

- A on tu był przed chwilą, powiedział, że wyście mówili, że chcecie uciekać.

- Broń Boże, nie mówiliśmy, że chcemy uciekać, tylko, że stąd nigdy się nie ucieknie.

- Ale mówiliście o ucieczce.

I zaraz tworzą taką grupę, która mówiła o ucieczce. Jeżeli chce śledowateli, od razu wymierza 10 dni karceru, czy dodatkowych prac, zmniejsza pająk, według swego uznania. Ale głównie chodziło o to, żeby nękać, nie dać odpocząć, ^{zdeptać człowieka.} I naturalnie żebyśmy nie grupowali się i nie rozmawiali.

Tak wzywano mnie ^{nas w nocy} dwa, trzy razy w tygodniu.

Wiara była jakoś pomocna. Spożywanie komunii, modlitwy w kotłowniach - człowiek wychodził po tym troszeczkę odświeżony, podbudowany duchowo. Potem musiał wracać do tej rzeczywistości, ale kiedy święta przychodziły, to myślało się o swoich, to też pomagało przetrwać. Dużo pomagało gdy człowiek zakrywał się na głowę kocem i tam żegnał się, modlił się, mówił pacierz, zasypiał ze ^{spelnieniem} ~~wspomnieniem~~ obowiązku katolickiego i z jakąś wiarą, że może

to przyniesie jakąś ulgę, a może pomoc. Z listu od Luby dowiedziałem się, że wodził się nasz syn Stanisław.

Potem mój syn został ochrzczony w cerkwi w Moskwie. W Norylsku cerkwi nie było. Córka została ochrzczona w meczecie tatarskim, bo żona pojechała nad Morze Azowskie i tam nie było prawosławnej cerkwi, były zniszczone. Zachował się meczet tatarski i tam ją ochrzczili, w obrządku muzułmańskim. Ale skoro przyjechaliśmy do Polski była poprawa chrztu świętego. I naturalnie poprawa chrztu żony też była i dopiero wtedy wzięliśmy ślub kościelny.

W 1949 roku ^{naczelstwo Medstojn podjęło} ^{uwodiny} ~~podjęte~~ zobowiązanie, że na ~~imieniny~~ ^{imieniny} Stalina wydowana zostanie huta miedzi, że dadzą pierwszy spust miedzi.

I rzeczywiście zrobili ten spust, wytopili sztabkę miedzi i posłali Stalinowi. A potem znowu budowali, rozbudowywali hutę.

Po pewnym czasie trafiłem do proraba czyli naczelnika odcinka. Był to inżynier budowy mostów Borys Georgiejewicz Szutin, Rosjanin /teraz już nie żyje, korespondowałem z nim/. On wziął mnie do brygady "rozgruzki i pogruzki" czyli rozładunku i załadunku. Pamiętam moment, kiedy podszedł do mnie i powiedział żebym przyszedł do niego "w bałok" czyli do budki stojącej - jak u nas - na budowie, kiedy nikogo w pobliżu nie będzie. Taki moment wybrałem. Porozmawialiśmy chwilę, spytał mnie skąd jestem. Powiedział, żebym czasami do niego zajrzał, to on mi przyniesie kawałek chleba. I rzeczywiście przynosił czasami zawiniątko z chlebem, kładł gdzieś, a ja zabiera-
^{a nawet a kottowanie jako Komunisty} ~~łem~~. Potem tym chlebem dzieliliśmy się w obozie. Później dowiedziałem się, że jego matka albo babka była Polką. Opowiadał mi, jak jego matka robiła na Wielkanoc babki, jajka święcone.

W 1949 roku wyszedłem z obozu na ^{dozwolone} zesłanie. Pracowałem dalej w tym samym miejscu, tylko w brygadzie zesłańców. Mieszkałem w "obszczeżiciu" czyli hotelu robotniczym, w 80-tym kwartale Norylska.

Później dostałem pokój, chyba 6 metrów kwadratowych. W tym czasie napisałem do mamy i siostry, które były w Lidzie, że jestem na dośmiertnym zesłaniu i że stąd nigdy nie wyjadę. Ale chyba niezupełnie w to wierzyłem. Bo przecież kiedyś wywożono też polskich zesłańców, a potem jednak w jakiś sposób wracali.

Napisałem też do poznanej w Szekśnie Luby. Luba odpisała mi: "Jeśli masz być na dośmiertnym zesłaniu, to może ja do ciebie przyjadę". Odpisałem jej, że może przyjechać, jeśli otrzymam zezwolenie. Bez niego nikt nie mógł przyjechać ani wyjechać, nawet inżynier czy enkawudzista.

Poszedłem do kapitana, który opiekował się naszą setką zesłańców. Powiedział, żebym napisał podanie. Otrzymałem zezwolenie i Luba przyjechała do mnie w 1950 roku. W tym samym roku wzięliśmy ślub.

Potem poprosiłem kapitana o pozwolenie przyjazdu mamy i siostry do mnie. Kiedy ojciec został ^{na 25 lat ~~trzy~~ ^{trzy} lat} skazany, mama została z 13-letnią siostrą. ^{naszych} Nadal wywożono z ~~tych~~ terenów rodziny AK-owców, sądzonych itp, więc mama spodziewała się, że i ją wywiozą. W 1952 roku przyjechała do mnie mama i siostra.

Pracowałem w brygadzie stal-montażu. Kiedy konstrukcje zostały postawione przenieśli mnie do montażu urządzeń mechanicznych. Pracowałem w brygadzie, która montowała urządzenie do pierwszego pieca płomiennego. Dyrektorem huty miedzi był ^{inż.)} Kibalin, kapitan, a potem major, stary czekista. Przechodził czasami i przyglądał się jak postępuje praca. Kiedyś podszedł do mnie i pyta, kto ja jestem. Więc mówię, że jestem byłym więźniem, teraz zesłańcem.

On, że mam akcent, jakbym był Łotyszem. Mówię, że jestem Polakiem. Za tydzień czy dwa pyta się, kiedy nasza brygada ma zamiar skończyć montaż transporterów. Określiłem jakąś datę a on mówi, czy nie przeszedłbym do eksploatacji. Przeszedłbym.

I tak na dzień urodzin Stalina został oddany pierwszy spust z pieców, a ja zacząłem pracować w eksploatacji i mieszkalem w hotelu zesłańców. W moim pokoju mieszkało trzech inżynierów, bardzo dobrych, solidnych. Jednym z nich był Stanisław Niwiński, konstruktor łodzi ^{podwodnych} ~~podwodnej~~. Pracowałem u niego, wziął mnie do pracy, był mechanikiem na piecu płomiennym. W tym samym pokoju mieszkał inżynier, który / Boże, jakie było jego nazwisko? / opracował przesuwanie domów. Jak poszerzali ulice Moskwy, ~~to~~ nie rozbierając przesuwali całe domy. To byli dobrzy inżynierowie, zdobywali nagrody leninowskie czy stalinowskie, a potem dostali wyroki.

Stanisław Niwiński pochodził z Odessy, ale jego rodzice byli chyba Polakami. We Władywostoku budował łodzie podwodne i kiedy na początku wojny zawitały tam statki amerykańskie, to ktoś powiedział, że on rozmawiał z Amerykanami. Oskarżyli go, że nawiązał kontakty czy coś takiego i dostał wyrok. Odsiedział 8 albo 10 lat, potem dostał dośmiertne zesłanie. Na zesłanie przysłali go do Norylska. Potem przyjechała do niego żona i dwie córki. Oni chyba wcześniej wyjechali, gdy po śmierci Stalina dla wielu Polaków i Rosjan zdjęto zesłanie i podsądność. Pojechał do Odessy z żoną i z młodszą córką. Już nie żyją. Jego starsza córka z Edwardem Sietko-Sietkiewiczem wrócili do Polski chyba dwa lata wcześniej ode mnie.

Dostaliśmy z Niwińskim pokój w hotelu dla rodzin zesłańców. W tym pokoiczku mieszkały 2-3 rodziny. Prześcieradłami czy kocami

przedzielaliśmy pokój na pół i z tej strony ja z żoną, a on w tej drugiej części. Później otrzymałem pokój w mieszkalnym bloku dla rodzin. Pokój miał może 6 m kwadratowych. Kiedy Sietko-
Sietkiewicza zwolnili z łagru i dostał dośmiertne zesłanie, przy-
szedł do mnie i potem każdy z Polaków, którzy wychodzili i otrzy-
mywali zesłanie, na pierwsze dni przychodzili do mnie i tak spaliś-
my na podłodze.

W tym czasie kupiłem już sobie ubranie, nienajlepsze, ale ubra-
nie i myśmy się wszyscy w tym ubraniu żenili.

W 1953 roku wybuchł bunt w obozie nr 4 i w innych obozach.

Zaczęło się od tego, że z innych łagrów przywieźli wielu Ukraiń-
ców. Byli bardzo dobrze zorganizowani i to oni zrobili bunt.
Pracowałem wtedy w eksploatacji, a więźniowie z tego obozu dalej
rozbudowywali hutę. Wstrzymali pracę urządzeń i przez dłuższy czas
nie chcieli wracać z placu budowy. Wywiesili czarne chorągwie,
hasła, żeby nie niszczyć urządzeń, żeby tylko nie przystępować do
pracy. Hasła te były wymalowane na rozmaitych papierach, płótnach.

Pieców nie wygasili, ja i inni zatrudnieni w eksploatacji -
pracowaliśmy /więźniowie nie byli zatrudniani przy eksploatacji,
prowadzili tylko budowę/. Tym, którzy nie chcieli wracać do obozu
nie przywożono jedzenia, myśmy przynosili im chleb. To było na
pewno niewystarczające. Oni tam byli dwa - trzy dni, potem odpro-
wadzili ich do łagrów. Odprawiali najpierw jedną grupę, niby do
obozu. Ale z obozu przyszła jakimś sposobem wiadomość, że ci ludzie
nie zostali do obozu doprowadzeni i nie wiadomo co się z nimi stało.
Wtedy ci, co zostali na placu budowy powiedzieli, że nie dadzą się
wyprowadzić. Dopiero gdy żołnierze przyprowadzili tych wcześniej
wyprowadzonych i pokazali, że nic im się nie stało, wtedy reszta

dała się odprowadzić.

W łagrze strajk trwał dłużej, a sytuacja wyglądała jeszcze bardziej groźnie. Więźniowie skandowali, krzyczeli, żądali przyjazdu przedstawicieli z Moskwy. Przyjeżdżali do nich wysocy przedstawiciele z Norylska, ale oni nie chcieli z nimi rozmawiać, żądali przyjazdu przedstawicieli z Moskwy. Palono gumę, żeby przez komin wydobywał się czarny dym.

W czasie buntu jeden z żołnierzy zastrzelił Ukraińca, który czegoś żądał czy krzyczał "precz ze Stalinem" czy "Stalin morderca". On był ze sztabu organizatorów buntu. Żołnierze chcieli porwać ciało, rzucili się... jedni i drudzy... W obozie zrobili mu trumnę, tam go trzymali parę dni i przy tej trumnie modlili się.

Potem bunt stłumiono. Część Polaków, między innymi Henryka Szumskiego gdzieś wywieziono. Jak się później okazało, niektórych na Kołymę, niektórych do Workuty. Byłem przekonany, że będą ich sądzili i dostaną wyroki po 25 lat albo po prostu gdzieś ich stracą.

Bunty przeżyłem strasznie. Dla mnie i dla wielu było to nie do pomyślenia, żeby w tamtych warunkach wznieść bunt. Zauważałem straszną trwogę ludzi w mieście. Ubolewaliśmy nad tym, co się po buncie stanie z więźniami. Mnie się zdawało i wielu innym, że oni buntem niewiele osiągną. To był chyba pierwszy zorganizowany bunt w historii gułagów. Nie sądzono, aby ten bunt był sprowokowany, bo w jego wyniku sporo osiągnięto. To nie był taki bunt, żeby mógł być sprowokowany. Był zorganizowany, można powiedzieć, że dobrze zorganizowany. Wiem, że zacni ludzie organizowali ten bunt, to nie byli prowokatorzy. Im chodziło o to, żeby to poszło w świat, żeby świat wiedział o tych warunkach. Nawet wtedy złapałem w radio jakąś

zagranicę gdzie mówiono o tym buncie.

Rosjanie na mieście odnosili się do buntu rozmaicie: że niepotrzebny, że bunt szkodzi, że nic tym nie osiągną tylko pogorszą sobie jeszcze sprawę, no i dostaną wyroki, a kto wie, czy nie będą sądzili na rozstrzelanie. Ale zesłańcy, bo tam najwięcej było zesłańców, odnosili się bardzo przychylnie, chociaż nie mogli o tym głośno mówić. Tylko ~~da~~ najbardziej zaufanych. Była pomoc kierowców, Rosjan; przywozili więźniom co można było przywieźć, nie wiem za jakie pieniądze, chyba po prostu bezinteresownie. Myślę, że wielu popierało ten bunt, tylko nie mogło tego w sposób jawny okazać. W czasie tego buntu jeszcze tak wielu Polaków nie było na wolności. Dopiero w 1953 roku zaczęli więcej wychodzić na wolność niby, albo na zesłanie z tych łagrów. Norylsk składał się w większości z zesłańców, byłych więźniów albo takich, co tam kiedyś coś naruszyli albo ich rodzice i przysłano ich jeżeli nie na zsyłkę to z nakazu pracy. Dlatego ludzie byli po stronie więźniów i bali się o nich. Tam nie było tego, co u nas w stanie wojennym, że ludzie zbierali się i coś demonstrowali albo czegoś żądali, ale ludzie bliscy, zaufani między sobą się zbierali po mieszkaniach. Przeżywaliśmy to i myśleliśmy z trwogą jak będzie i co z tego wyniknie, czy można coś zaradzić, czy można pomóc.

W mojej fabryce pracowało bardzo mało Polaków, tylko paru, reszta miała nakaz iść do pracy tam, gdzie ich skierowano. Każdy zakład był ogrodzony i pilnowany jak łagier. Jeśli ktoś tam nie pracował, to nie mógł wejść, bo tam pracowali więźniowie. Ja natomiast zawsze mogłem wnieść ^{maty} trochę zawiniątek, ~~niektórzy~~ ~~niektórzy~~ ~~niektórzy~~ ~~niektórzy~~ ~~niektórzy~~ jakiś chleb, dużo nie, bo to od razu byłoby widać. Kierowcy w jakiś sposób wwozili jedzenie. Nam też bardzo srogo zakazano, pod karą osądzenia

za pomoc czy współpracę, więc kiedy przynosiłem chleb, to tak go kładłem, żeby ktoś obcy nie zauważył, a tylko więźniowie.

Po tym buncie nastąpiła pewna poprawa warunków i nawet zesłańcy odczuli to korzystnie. Staliśmy się silniejsi przez to, że bunt wybuchł i nie potrafili go stłumić tak, jak robili to przedtem.

Były głosy, że naczelnik łagru nr 4 to był dość porządny człowiek. Nie pamiętam, jak się nazywał. To był człowiek dość wyrozumiały, tolerancyjny, nie znęcał się, i nie był taki szkodliwy.

Dalej pracowałem w brygadzie utrzymania i eksploatacji urządzeń hutniczych u inżyniera Stanisława Niwińskiego. Ten człowiek często chorował, ale był on bardzo zacny, porządny, można było przed nim odkryć duszę, on przede mną też.

Przychodzi rok 1956. Żona wyjeżdżała z Norylska i wracając kupiła radio "Mińsk". W mieszkaniu mieliśmy tzw. Kukurużnik, gdzie przez radiowęzeł nadawali. Pewnego razu słuchając radia usłyszałem piosenkę: "Na lewo most, na prawo most", po polsku. Myślałem, że mnie serce pęknie, tak rozczuliłem się, że nie mogłem miejsca sobie znaleźć.

W 1953 lub 1954 roku, chyba w lipcu - wtedy nie ma nocy, więc ludzie wykorzystują to i całymi nocami siedzą w oknach domów - żona usłyszała w nocy, że ktoś w naszym mieszkaniu stukał. Matka zawsze, kiedy dziecko jest małe, bardzo czujnie śpi, a ^{lila} ~~lilia~~ miała wtedy pół roku albo rok. Wtedy wypuścili wszystkich złodziei i bandytów, tak że w Norylsku i w innych miastach strach było wyjść na ulicę. Tam była rzeź: grabili, wałęsali się, rozbierali ludzi na klatkach schodowych, na ulicy, przegrywali ludzi w karty. I tej nocy do naszego mieszkania /mieszkaliśmy na 5 piętrze/ wszedł z dachu przez uchylone okno bandyta. Kiedy skoczył z okna, stuknął butami o podłogę. Żona myślała, że to dziecko wypadło z łóżeczka, wstała i zobaczyła, jak

ten bandyta biegnie do naszego łóżka. Krzyknęła. Wskoczyłem i zaczęliśmy się szamotać. Był troszkę ode mnie niższy. Złapałem go za nogę i przewróciłem.

Naturalnie mama, siostra i żona zerwały się, zaczęliśmy krzyczeć. Nasi sąsiedzi zamiast nam pomóc zamknęli się. Nie miałem w pokoju młotka ani nic innego do obrony, a bałem się, że mnie przebije nożem. Złapałem go za nogę, zerwałem but z cholewami i tym butem biłem go po twarzy, po głowie, jak mogłem najmocniej. Rozbiłem mu nos, polała się krew. Wskoczyłem do przedpokoju, chwyciłem młotek i tym młotkiem zacząłem go dziugać, aż doprowadziłem do takiego stanu, że już się tak bardzo nie bałem, że on mi coś zrobi. Był to żołnierz czynnej służby, w umundurowaniu. Jak się potem dowiedziałem na dachu było ich jeszcze czterech. Potem zaczęli dobijać się do drzwi, ale ich ostrzegłem, że stoję z siekierą i co najmniej dwóch pierwszych zarąbię, jeśli zechcą wyłamać drzwi. Sąsiedzi słyszeli hałas, ale nikt nie wyszedł. Za chwilę przyjechała milicja i zabrali go. Na komendzie spisali protokół a oficer powiedział mi, żebym w żadnym wypadku nikomu o tym nie mówił.

Na drugi dzień poszedłem do pracy. Dyrektor zawołał mnie do siebie, żebym opowiedział, jak to było. Opowiedziałem. Zaraz zadzwoniła milicja, żebym ja się zgłosił. Po pracy pojechałem na milicję, myślałem, że będę składał zeznania, ale powiedzieli mi jeszcze raz, żebym o tym nie opowiadał, a jeżeli ktoś mnie zapyta, żebym mówił, że to jest przypadek. I umorzyli tę sprawę, więcej nigdy nie zostałem nigdzie wezwany i tamci napewno nie zostali ukarani. A ja bałem się chodzić do prokuratora czy gdzieś domagać się, to zresztą i tak by

nic nie dało. No i po prostu - bałem się.

W czerwcu czy w lipcu 1954 roku zostałem wezwany do NKWD i zdjęli mi podsadność. Chcieli dać mi chyba radziecki dowód osobisty. Ja dowodu osobistego nie wziąłem. Wiedziałem, że Białorusini, którzy tam byli, którzy byli Polakami, a jeszcze w Lidzie przy aresztowaniu wpisali im "Białorusin" - nigdy nie wrócą do kraju. Ja jeszcze wtenczas też wiedziałem, że nie wrócę, ale doszły nas słuchy, że z innych obozów niektórych Polaków - ale tylko Polaków - wysyłali do kraju. Nie podpisałem obywatelstwa radzieckiego i dostałem "wremiennoe ^{indostoiwenije} ugospodarenie", czasowy dokument na życie i z tym żyłem.

W 1956 roku usłyszałem przez radio "Na prawo most, na lewo most", a potem zawsze pod poduszką słuchałem /żeby nie słyszała druga rodzina mieszkająca z nami/. Usłyszałem, że w Polsce jest przewrót państwowy, że do władzy doszedł Gomułka. To nawet chyba podawali w ogólnodostępnych wiadomościach i w gazetach. Wtedy napisałem do naszej ambasady w Moskwie prośbę, aby umożliwiono mi powrót do kraju. I oni mnie szybko odpowiedzieli, żebym udowodnił, że jestem Polakiem. Moja mama przywiozła ze sobą moją metrykę urodzenia. Zrobiłem fotografię tej metryki i wysłałem do ambasady. Odpisali bardzo szybko, że przysługuje mi powrót do kraju.

Zaczęła się korespondencja w tej sprawie. Wiedziałem, że starali się mi pomóc. Pisałem tam kto z Polaków jest w Noryńsku, nazwiska. Potem dostałem wiadomość, że za takim numerem w takim dniu wysłali dokument, który daje mi prawo powrotu do kraju.

Pewnego razu na płomiennym piecu podszedł do mnie główny mechanik huty, Rosjanin i mówi: "Ty starałeś się wyjechać w Polszu". Nigdy nie kłamałem, nie chcę i nie umiem. A wtedy skłamałem, zaparłem się tego, powiedziałem, że nie. Bałem się, że coś takiego zrobią - będzie jakaś awaria, to mi ją przypiszą, zrobią sabotaż na moje konto i uniemożliwią mi wyjazd. Poza tym on zaskoczył mnie i nie byłem przygotowany na żadną odpowiedź i tak powiedziałem.

Już we mnie zostało, że podjąłem starania o powrót, a jednocześnie strasznie się bałem, że mogą mnie za byle co aresztować, przypisać sabotaż, bo przecież było to na porządku dziennym.

Naturalnie żona dowiedziała się i zamartwiała się, co będzie z rodziną. Według zapewnień ambasady powinniśmy wyjechać z rodziną, ale czy tak zrobią? Nie wiedzieliśmy. Żona rozpaczała, płakała, a ja ^{nie}ja/wierzyłem, że wrócę do Polski, ale postanowienie powziąłem, że pojedę. Wielu Polaków wiedziało, że wystąpiłem o powrót i inni później też wystąpili. Wiedzieli, że ja z ambasady otrzymałem odpowiedź jako pierwszy z Polaków.

Kiedy ^zdołąłem tę decyzję, zaraz wezwano mnie do NKWD. Major, który opiekował się mną przedtem i miał moją kartotekę, a do którego zgłosiłem się, żeby odebrać to zezwolenie /zgodnie z treścią otrzymanego od NKWD zawiadomienia/, pytał dlaczego jadę do Polski, że w Polsce przewrót, że głód, że skomplikowana sytuacja. Po co mam jechać, przecież już teraz mam tu pracę, pracuję, zarabiam, mam dobrą rodzinę. Nie wiedziałem, że aż tak dużo o mnie wiedzą.

Jednak odpowiedziałem, że koniecznie chcę jechać. Więc rozmawiał ze mną już potem w inny sposób: że Polska jest taką ich republiką, a to co ambasada wydała to jest mało znaczące i że Moskwa daleko, a tu nadal prawem jest tundra, ^{a podkwaśtorem} ~~prawem~~ niedźwiedź /tak nam stale mówili/. Powiedział, że nie dostanę prawa wyjazdu i po prostu mnie wyrzucił.

Kiedy wróciłem do domu, opowiedziałem to żonie. Namawiała mnie, żeby zaniechać starań. Ale ja codziennie szedłem do tego majora i pytałem czy już przyszło pismo z ambasady, a ambasadę informowałem, że nie dają zgody. Przekonywał mnie czasami major, żebym zaniechał tego planu. Kiedy się upierałem rozmawiał ze mną ostrzej.

Któregoś dnia w fabryce powiedzieli mi, żebym się zgłosił do dyrektora Kibalina. Miał wtedy może 65 lat, siwe włosy, strasznie nieprzystępny człowiek o surowej twarzy. Zawsze chodził w uniformie wojskowym. Inżynierowie jak mieli wejść do niego to przebierali nogami z tamtej strony, czy mogą. Nigdy nie powiedział nikomu, aby usiadł. Mówił co miał mu powiedzieć i wychodził.

Poszedłem w roboczym ubraniu, brudny i zakurzony, w brudnych walonkach. Wzdragalem się wejść do niego, zostawiałem ślady. Ale powiedział: dawaj, dawaj, siadaj. Wtedy myślałem, że coś złe, bo nigdy przedtem mnie nie wzywał na rozmowy i że chyba nie pojedę już do Polski. Siedząc obok niego ²przysgotowuję się do rozmowy, a on mówi: Słuchaj, ty chcesz jechać do ojczyzny, na swoju rodzinu. Wtedy ja mu powiedziałem, że tak, że chcę jechać, ale że mi nie pozwalają, nie dają dokumentu. I - proszę sobie wyobrazić- ten

człowiek o surowej ^{Uamiennej} twarzy, o takim nieprzystępnym charakterze wziął mnie za rękę i mówi: "pojeżdżaj na rodzinu". Ja myślałem, że źle słyszę! Mówił jeszcze, że muszą mi pozwolić jeśli będę nalegał, bo jest taka umowa między rządem Związku Radzieckiego a Polskim, że mają pozwolić Polakom pojechać do ojczyzny. I mówi do mnie: "nie bój się, domagaj się, a pojedziesz".

I wtedy zrozumiałem, że nie mam prawa skapitulować. Nacisnął guzik i mówi do sekretarki, żeby powiadomiła kadry, że mają mnie rozliczyć.

Wróciłem do majora, który nadal twierdził, że nie ma tych dokumentów i żebym przestał sobie zawracać głowę tym.

W domu powiedziałem żonie, co mówił mi Kibalin, że muszą zezwolić. Byłem troszeczkę podbudowany. Na drugi dzień poszedłem do pracy, a tam w pewnej chwili kazano mi zejść na dół. Okazało się, że przyszło po mnie trzech milicjantów. Zabrali mnie ze sobą. Strasznie się przestraszyłem. Kiedy przejeżdżaliśmy koło mego domu poprosiłem żeby mi pozwolono powiedzieć żonie, że mnie zabrali. "Nie trzeba, nie trzeba, ty zaraz wrócisz". Wpadłem w popłoch, Wiedziałem, co to znaczy "zaraz wrócisz". Myślę sobie: źle zrobiłem, że podjąłem te starania, moje dzieci zostaną sierotami, kto je będzie żywił?"

W NKWD pytają czy zastanowiłem się co do wyjazdu. Mówię, że postanowiliśmy wyjechać. Major jeszcze ze mną rozmawia, a potem mówi: "Won. Już więcej nie przychodź".

Wyszedłem, zrobiłem może 10 kroków. Otwierają się drzwi:
"Wiernijsia". Otwiera szufladę i wyrzuca dokument dla mnie, tylko
dla mnie. Kiedy przygotowywaliśmy dokumenty polecono nam zrobić
zdjęcia ja ^{Sam, a} żona z dziećmi. I ja zrobiłem zdjęcie swoje, a żona
i dzieci swoje. Więc mój dokument osobno wystawiony był, a osobno
żony. Żona miała wówczas nazwisko chyba jeszcze panińskie.
Wziąłem swój dokument i poszedłem do domu. Moi wpadli w rozpacz.
Zaczęli mi perswadować, żebym nie jechał i nie zostawiał ich samych.
Byłem w strasznej rozterce. Nie wiedziałem jak oni tu będą żyć,
nie bardzo wierzyłem, że się uda uzyskać zezwolenie dla żony i dzieci.
Nastraszyli mnie w NKWD, że tego zezwolenia nie będzie, bo żona
Rosjanka, a dzieci urodziły się w Norylsku. Ale mnie się tak chce
jechać do kraju, że miejsca sobie nie mogę znaleźć.

Poszedłem jeszcze do pracy, rozliczyli mnie, pobrałem pieniądze
i pożegnałem się. Poszedłem do biura, gdzie wydawali dokumenty
domagając się dokumentów dla mojej rodziny. Oni znów mnie przekonywali,
żebym nie jechał, bo coż ja za człowiek, żeby zostawiać własne dzieci,
żeby je państwo karmiło itp.

Na dokumencie przybita pieczęć, że jest ważny do końca stycznia
i po upływie powyższego terminu dokument traci ważność i nie mam prawa
ubiegać się o ponowne wydanie. A było to może 25 stycznia. Prawie
cały styczeń targowaliśmy się. Poszedłem do majora i powiedziałem,
że wyjeżdżam, żeby dali pozwolenie /bo musi być pozwolenie/ na

kupno biletu na samolot. Po pewnych targach dał mi zezwolenie, a ja wtedy zacząłem się strasznie od niego domagać, żeby wydał zezwolenie także na żonę i dzieci. Mówiłem, że będąc w Moskwie będę się ubiegał o to /kierowałem się tym, co nasza ambasada napisała w zawiadomieniu/, że umowa międzypaństwowa itd. Wypędził mnie wreszcie i znowu, tak jak wtedy, kazał wrócić. Wyjął z szuflady zezwolenie dla wszystkich /mama moja wyjechała już wcześniej. Kiedy ojciec został zwolniony, wtedy mama pojechała do Lidy, do ojca.//

W domu wielka radość. Spakowaliśmy się, choć nic takiego znowu nie mieliśmy do pakowania, i powiedzieliśmy o wyjeździe znajomym, i ^{temu} takiemu kierownikowi, u którego ja jeszcze pracowałem jako więzień a potem zaprzyjaźniliśmy się -- Borys Gieorgicz Szukin. On przyszedł do mnie, rozplakał się i o dziwo odprowadził mnie aż do Moskwy. On ~~tam~~ miał siostrę w Moskwie i później doleciał tam do mnie i tam się znowu spotkaliśmy.

Odlecieliśmy chyba 27 stycznia 1957 roku. Po drodze ~~minęliśmy~~ musieliśmy lądować w kilku miejscach, aż wylądowaliśmy w Krasnojarsku. Dzieci wyszły z samolotu i zaczęły wrzeszczeć: "tato, mamó, słońce!" W styczniu w Norylsku słońca nie ma, a tu było słonecznie. Ludzie patrzą -- skąd te dzikusy przyjechały, że dziwią się, że jest słońce?

Jesteśmy w Krasnojarsku, gdzie czekamy na dalszy lot do Moskwy. Na naszych dokumentach skończyła się ważność -- jest chyba 30 -31 stycznia 1957 roku. Uradziliśmy z żoną, że muszę pojechać do naczelnika Krasnojarskiego Kraju /to więcej niż Europa/. Wzięliśmy

taksówkę. Postanowiliśmy, że wejdziemy do niego całą zwartą grupą, żeby nas nie rozdzielili.

Powiedziałem mu, że skończyła mi się ważność dokumentów i proszę o przedłużenie. On się do mnie nie odezwał ani słowa tylko wyciągnął rękę. Podałem dokument, on coś napisał i powiedział: "eto wsio". Żona przeczytała - przedłużył o 30 dni.

W Moskwie spotkaliśmy rodzinę mojej żony i przyjechaliśmy do nich. Rodzice żony byli niewidomi. Ojciec stracił wzrok mając 17 lat, kula niemiecka przestrzeliła mu skroń w czasie pierwszej wojny. Ożenił się z ^{drucyną} ~~kobietą~~, która mając 16 lat zachorowała na zapalenie opon mózgowych i też straciła wzrok. Mieli dwie córki, nigdy nie widzieli swoich dzieci. Ale córki widziały. Rodzice żony mieszkali w bardzo kiepskich warunkach. Ojciec słuchał radia. Namawiali nas, żebyśmy nie jechali do Polski, bo tam przewrót, bałagan. Zostań! A ja chcę jechać. Koleżanki, które z żoną chodziły do szkoły, wszyscy zaczęli mówić, że w Polsce nie lubią Rosjan, wycinają im gwiazdy na czołach. Tam nas nie znają, tam nas nikt nie czeka. Pobyliśmy tam troszeczkę, kupiliśmy dzieciom ubranie, troszkę rodzice dodali nam na to pieniędzy - i pociągiem przyjechaliśmy do kraju.

Umówiliśmy się z Polakami, którzy jeszcze zostali w Norylsku, że jeśli pomyślnie będą się sprawy układały, a będę mógł, to będę pisał. I rzeczywiście już będąc w Moskwie napisałem, co oni mają przejść i jak się starać i żeby się nie bali. Wysłałem wiele listów w różne miejsca. Pisałem też z trasy i kiedy przyjechałem do kraju.

W Moskwie poszedłem do naszej ambasady podziękować za starania

i podałem wiele nazwisk Polaków, którzy jeszcze tam zostali.

Ambasadorem wtedy był chyba Popiel. Przyjął mnie i opowiedziałem

mu, jakie trudności stwarzali Rosjanie, jakie mogą stwarzać innym.

Ambasador słysząc, że pracowałem w hucie powiedział, że pod Krakowem

buduje się taki kombinat-huta. "Skoro pan pracował w hucie, niech

pan tam jedzie, napewno tam pan pracę znajdzie". Stąd znalazłem

się w Krakowie. 15 marca podjąłem pracę w Kombinacie.

Kiedy przekraczałem granicę myślałem, że mnie rozerwie, że mnie serce pęknie, że ja gdzieś tam wyskoczę i będę całował ^{podług} tę ziemię.

Ze mną jechały przynajmniej dwie rodziny Żydów, polskich Żydów, czy rosyjskich? Jedni napewno po polsku mówili, jechali z Norylska, nie znam ich nazwiska, choć ich tam znałem. Drudzy mieli strasznie biedne

bagaze. W Brześciu, nie wiem dlaczego, kazali im wyjść z bagażami i

ze wszystkim. U mnie znaleźli, albo ja sam odkryłem, że mam 300 rubli.

Mnie będą niepotrzebne, myślę, więc stanąłem w otwartych drzwiach i rzuciłem tej rodzinie. Naturalnie żołnierze od razu mnie za ręce złapali i "co ja rzuciłem". Odkryli, że pieniądze. Pytali dlaczego to

zrobiłem. Mówię, że przekraczam granicę i mnie już niepotrzebne, a oni tacy biedni. I wtedy żołnierze i celnik mówią do mnie, że jestem

już starszy a durak. Mówią: "widziałem tę patelnię, co oni wieźli? Te patelnie były ze złota, tylko okopcone". Że oni wieźli majątek,

a ja głupi oddałem im swoje pieniądze. Że ich wysadzili, bo przemycali te patelnie.

W Norylsku spotykaliśmy się z inną rodziną żydowską. To był Józef Fisz, Żyd, ona mówiła, że jest Polką, Rysią Wróblewską. Chyba wyjechali do Izraela, ale nie wiem na pewno.

W pociągu jechał też jakiś Żyd, który bardzo swobodnie rozmawiał. Nie wiem, skąd wracał. Mówił, że ma małą fabryczkę wody gazowanej w Polsce i jak chce, to on mnie zatrudni. Ale ja jechałem już do Nowej Huty. Potem ten Żyd mówił na Chruszczowa "ten kukuruźnik", a ja bałem się tego, co on mówił. Nie wiedziałem, jak mam się do niego odezwać.

Weszli wopiści: polskie mundury, czapki; całkiem inni ludzie, uprzejmi, uśmiechają się, rozmawiają. Tam nikt się do nikogo nigdy nie uśmiechał, kamienne twarze. Na punkcie spisywali jakieś dane, dano nam ^{chyba} ~~oś~~ 3 tysiące złotych.

Potem poszliśmy do kościoła. ^{Gdy} ~~Jak~~ usłyszałem organy i zaśpiewali, to tak płakałem, że ludzie oglądali się, myśleli, że coś mi się stało. Nie mogłem tego przeżyć, zdawało mi się, że jestem w jakimś innym świecie. Jestem u siebie. Nie ma kolchozów. Polska mowa. Ludzie rozmawiają. Wtenczas był czas odwilży, rozmawiałem z ludźmi, ale byłem nieufny. Mówiłem, skąd wracam, ale nie dzieliłem się szczegółami. Wracam z Syberii i już.

Pracę w Nowej Hucie dostałem bez większych przeszkód. Skierowano mnie na wydział remontowy, a po paru miesiącach przeniesiono na walcownię. Dostaliśmy pokój w hotelu ~~robotniczym~~ dla ekspertów radzieckich. Po 2-3 miesiącach dostaliśmy dwa pokoje z kuchnią.

W porównaniu z tamtą hutą wydawało mi się, że trafiłem do sanatorium. Tam pracowałem cały czas w masce, bo to była ^{huta o. b. starym procesie technologicznym} ~~bardzo stara i brudna huta~~. Piece i konwertory dmuchały ^{gamy siadły} na halę. Tutaj widziałem budynki eleganckie,

asfaltowe drogi, chodniki, przejścia, drzewa, roślinność. Tam tego nie było, Norylsk jest przecież poza tajgą, tundra.

Na wydziale zostałem otoczony wielką sympatią, każdy chciał się czegoś ode mnie dowiedzieć. Naturalnie byłem bardzo powściągliwy i ostrożny przy takich wypowiedziach, bo niektórzy podchodzili do mnie i ostrzegali: "Słuchaj, tu mogą do ciebie przychodzić różni. Ucho." Nie wiedziałem wtenczas, co to jest ~~ucho~~ "ucho".

Dostałem największą grupę, jaką wtenczas można było dostać, chab 7.50 zł na godzinę, a potem 9.50. Kiedy przeszedłem na inny wydział, otoczono mnie pewną opieką. Z początku nic nie wiedziałem. Potem dowiedziałem się, że wypytują o mnie, nawet kazali śledzić, co robię, bo miałem przecież wyrok, wysoki, 10 lat, tam siedziałem ~~przez~~ 13 lat. No i jestem ~~AK~~ akowcem. Chociaż była już wtedy pewna odwilż. Wypytywano, jak pracuję, jak rozmawiam z ludźmi, czy jestem sumienny. Było takich dwóch, co mi potem mówili: "Nie wiadomo, czego od ciebie chcą, ale my nie powiedzieliśmy źle, powiedzieliśmy dobrze." Do domu, do żony przychodził kapitan z ROP, Robotniczej Ochrony Przemysłowej. Stworzył sieć swoich ludzi, przychodził do żony i wypytawał się. Nie mówił żonie, że jest z ROP-u, powiedział, że ze mną razem pracuje. Pytał, jak żyjemy, kogo mamy ze znajomych itd. Nie przedstawił się. Był tu kilka razy.

W pracy wiedzieli, że ja 13 lat tam odbyłem. Niektórzy mówili, że przecież niewinnego na 10 czy ileś lat tam nie dadzą. Z takimi głosami spotykałem się, więc byłem trochę zagubiony, zaskoczony. Czułem taki oddech, że jak coś się stało, to mnie wypytywano, gdzie byłem w tym czasie, co robiłem.

Na przykład pierwsze zatarcie łożyska. Było to w 1958 lub 1959 roku.

Zatarło się ogromne, walcownicze łożysko. Pracowałem jako brygadzysta warsztatu, więc zostałem zdjęty z brygadzisty. Pytano mnie, jak montowałem to łożysko, kto był przy montażu. Przesłuchiowano całą brygadę. Jakieś 2 tygodnie nie byłem brygadystą, potem wróciłem na stanowisko, bo mechanik, członek partii, który w tym czasie pełnił dyżur przyznał się, że nie odkręcił zaworu i olej nie doszedł do łożyska.

Nie wiem, czy była taka noc w łagrach i po wyjściu, żebym się nie zrywał. Krzyczałem, mordowałem się, pociłem. Sny były bardziej akowskie - albo strzelałem, albo byłem w akcji. Pożem prześladowały mnie ciągle przesłuchania - bito mnie, zasłaniałem się, krzyczałem, bałem się. Już w Polsce, jeżeli nie co noc, to co drugą noc przeżywałem to, i teraz też. Śni mi się, że jestem za polarnym kołem, w obozie. Pracuję przy taczkach, jestem chory: biegunki, szkorbuty, zęby... Biją mnie i innych. Widzę tę jamę, w której nas trzymali po ucieczce. I tak stale. Żona budzi, pyta: co ci się śni? dlaczego krzyczysz? uspokój się. Od nowa zasypiałem i od nowa mnie się to śniło. Nieraz wstawałem bardziej zmęczony niż kiedy się kładłem.

Kiedy przyjechałem, byłem strasznie nerwowy. Leczyłem się u psychiatry w kombinacie. To była pani doktor Karp, która też była w ZSRR, ale nie w Norylsku. Ona mówiła mi, że muszę to przeżyć, dawała rozmaite lekarstwa.

Na zewnątrz nie byłem wybuchowy. Niektórzy mówili, że jestem opanowany. Ale ja prawdę mówiąc byłem taki, że jak zdenerwowałem się, to nie mogłem słowa powiedzieć. Z zewnątrz myśleli, że nie chcę, a ja naprawdę słowa nie mogłem wykrztusić! Serce zaczynało walić, żołądek boleć, musiałem zaraz biec do ubikacji.

Głowa bolała strasznie. W Norylsku jest rozrzedzone powietrze

i inny klimat. Przez tyle lat organizm przyzwyczał się i tutaj nie mogłem się zaklimatyzować. Miałem ropę w oczodołach, w nosie, ściągali ją, suszyli, przechodziłem punkcje. Z początku myślałem, że nie przeżyję, ale potem pomalutku - trwało to jakieś 4-5 lat - zacząłem jakoś odzyskiwać równowagę psychiczną i zdrowotną. Ale to prześladowanie zostało i dzisiaj. Po naszej rozmowie też to będę przeżywał, będę śnił całą noc. Jeśli oglądam teraz jakiś wojenny film, to potem całą noc mam z tym związaną: strzelam, czołg mnie przejeżdża w okopach, całą noc mnie to prześladowa. Jeszcze w Norylsku poszliśmy z żoną do kina. To był film o Powstaniu Warszawskim, "Kanał" Wajdy. Tak tam płakałem, tak przeżywałem, że kiedy przyszedłem do domu tośmy się wszyscy spłakali, bo i dzieci patrząc na mnie. Chodziłem kilka dni nieswój, zdawało mi się, że tam jestem, że uczestniczę w powstaniu. Ogromnie to przeżyłem, odnowiło się u mnie wszystko, wróciłem do tamtych dni, tamtych ludzi, do swoich AK-owców, do tych twarzy. To dla mnie było takim strasznym przeżyciem, że i cieszyłem się, że to zobaczyłem i żałowałem.

Wielu ludzi rosyjskich znalazłem pocziwych, dobrych, pomocnych, ale na pewno Rosjanom - żadnej władzy nie zawierzam. Jak zobaczę mundur, zobaczę tę czapkę, to choćby nie wiadomo jak mnie przekonywał - nigdy nie zaufam, nie uwierzę, bo mi się zdaje, że tam nie ma ani jednego człowieka, który nie byłby przewrotny i to nie tylko

spośród wojskowych. Prosty naród może inaczej myśli, ale kto na jakiejś służbie był, na pewno jeżeli nawet głęboko w duszy inaczej myśli, to na zewnątrz nie odkrywa się i nie pokazuje innym.

Chyba po 6 latach pobytu w Polsce dostaliśmy zaproszenie i pojechaliśmy do Moskwy. Na miejscu poszliśmy się zameldować /tam trzeba się meldować/. U nas siedzi pani w okienku w wydziale meldunkowym i melduje mnie i sobie odchodzę. Tam cały gmach wybudowany i wszyscy są - od jakiegoś starszyny - kapitana, porucznika do pułkownika, który jest naczelnikiem biura meldunkowego. Wszystko trzeba przejść, wszystkie biura. Wchodzimy do tego meldunkowego ze szwagrem -

- A on kto ? - mówi meldunkowy.

- On Polak

- to po co wprowadziłeś go do tego gmachu?

A myśmy się jeszcze na korytarzu umówili, że ja nie mówię po rosyjsku i nie rozumiem. I meldunkowy jeszcze pyta ~~mnie~~ przy mnie:

- Czy on ponimaje?

- Nie, on Polak, to jego żona Rosjanka.

I on szwagra tak strasznie zbeształ, że po co mnie wprowadził do gmachu, do gabinetu. Kiedy szwagier zaczął przeproszać, że on nie wiedział, że nie wolno, ten do niego mówi: "Ty ^{niebzdzielnny} ~~niewidzielnny~~ ~~(niebzdzielnny)~~ czeławiek". Co znaczy, że on jest nieostrożnym, nie dość czujnym obywatelem. Potem dzielnicowy milicjant przychodził do domu, pytał się, jak nam się żyje. czy się podoba Moskwa, kiedy poje-

dziemy.

Rodzice żony wtenczas ^{jeździł} żyli. Naturalnie ojciec i szwagier ^{inaczej} lubili wypić, ja nie bardzo. ^{Byli bardzo gościnni, oddali by wszystko} ^{Wspierał i przede wszystkim} ^{gdyby my o coś poprosili. Do Nasyłku przysyłał naszym dzieciom ubrania} ^{Wspierał i przede wszystkim} ^{nie nie dlatego tak mówi, żeby chętnie} ^{co tylko mogli dostać. Pomagali nam o co mogli.} ^{Bo nie miał pretensje, tak tylko mówił. To było i jest bardzo ważne} ^{i poczekał na dłużej.}

Wiele lat minęło i zatarło się w pamięci. Ja przez ten cały czas nigdy z nikim na ten temat nie rozmawiałem, nie odnawiałem wspomnień, przeżyć. ^{Straszyłam, że jesteśmy we własnej ojczyźnie i że} Wróciłem do kraju i z nikim nie rozmawiałem ^{dla nas} ^{życia polskie} ^{stanie i polskie} ^{miała mi} ^{głowa} na te tematy. ^{opowiadałem czasem} Bardzo powściągliwie, że tam pół roku dzień, pół roku noc, ale o szczegółach nic.

Nie to, że nie chciałem tylko nie miałem takiego zaufania, że ja mogę to powiedzieć.

W dniu 7.12.1989r. zostałem zaproszony przez Telew. Polską na ul. Woronicza 17. W tym dniu był wyświecany poraz pierwszy film „Proces 16^{ty}”. Reżysera Nadzwyżajina prowadził Pan Babszewski. Od pierwszych chwil tak niespodziewanie, włączyłem się w przebieg procesu, że zapomniałem gdzie jestem, zdawało mi się że znajduję się tam wśród sędziów, oskarżycieli, widzów, śledczych, zgnębionych, bezbronnym, pomęczonym naszym przywódców Polskiego Podziemia. Wyrażałem odwróceniem w swojej pamięci cały przebieg procesu, poczułem strach i nieopisaną bol na twarzach oskarżonych, zresztą tak samo boleśnie, przeżywałem wówczas z nimi wszystko. Pot wystąpił na czoło, a rękę chował jak galeon. Z ręką wypadły mi okulary i notes. Później gdy redaktor Pan Babszewski podszedł do mnie z mikrofonem jako do jednego z żyjących świadka „Moskiewskiego Procesu” aż byłam uderzona krótkiego wywiadu, mi byłam w stanie wydobyć z siebie słowa,

re- te

Tę ciążę mi się z oczu, rozpięciem się.
Po paru minutach ledwo zdobyłem się na zabranie głosu i
złożenia krótkiej informacji i wspomnień związanych z pobytami
na Lubiance i samym procesie. Właściwie od tego czasu wielu
kłóży oglądali program TVP. Rewizja Nadzwyczajna Proces 16^{ty}
zobaczyli mnie, poznali przypominali. Prosto ujawniłem
się. Otrzymałem bardzo dużo telefonów, miłych, życzliwych
i ciepłych, wiele współczucia napisanych także w listach.

Ogromnie pragnęłam spotkać się z jedynym żyjącym
z procesu 16^{ty} Panem ministrem Adamem Bieńkim.
Gdy zdobyłem adres Pana Bieńki napisałem list
informacyjny o sobie i prosiłem o ile to możliwe o spotkanie.
Ze względu na wiek i zdrowie Pan minister zaprosił
mnie do siebie do Ossali. Jakże wspaniałe i cenne
było nasze spotkanie po 45 latach. Miłośnicy dziennikarstwa
i kamera telewizyjna uścisnęła cały przebieg spotkania.
Nad całością wydarzenia czuwał i organizował Pan ~~prof~~ Maciej
Zarebski ze swoim zespołem. Ogromnie zaskoczyło mnie, to
trzeźwość umysłu Pana ministra, doskonała pamięć i
pogoda ducha. Poznał mnie od razu i sam uzupełnił
pełne fakty. Po paru dniach nastąpiły dalsze nasze
spotkania, przy odsłonięciu pomnika 16^{ty} w Puszczkowie,
na sympozjach popularno naukowych, w gmachu Sejmu
na Wilejskiej i innych okolicznościach i miejscach.

Relacja złożona przeze mnie jest bardzo krótka i daleko nie
pełna. Odbyła się bez żadnego przygotowania, wiem że bardzo
dużo ważnych faktów i wydarzeń pominięciem. Pragnęłabym
ażebym ktoś chętny i autorytarny zebrał i opisał moje przeżycia
i zyskorys ^{opisał} ~~moje przeżycia~~ ^{moje przeżycia} ~~moje przeżycia~~ ^{moje przeżycia}
i więcej wiedzieli o latach wykreślonych z mojego życia, i
podebnych. Pożyczyłem dla mnie wojna trwała zbyt długo,
bo od 1 września 1939r. do lutego 1957r. t.j. 17 lat, Ciężko.

МВД СССР
УПРАВЛЕНИЕ МВД
— ПО —
КРАСНОЯРСКОМУ КРАЮ
"13" 1954 г.

№ 10237
г. Красноярск



15.01.54
Видом на жительство
не служит.
При утере не возобновляется.
13.01.54
24.01.54
В.Н.Норильск

СПРАВКА

Выдана Лотареву

Александровичу,

1923 года рождения, уроженцу г. Детройт (США)

гр-н СССР, по национальности поляк

осужденному 4 февраля 1945 года осужден

советскими и НКВД СССР

по ст. 63-1 УК БССР к лишению свободы на 10 лет

лет и находившегося в ссылке в Красноярском крае в том, что он на основании указания МВД и Прокуратуры Союза ССР от 24 апреля 1954 года из ссылки освобожден
"13" 1954 года со снятием судимости в соответствии Указа Президиума Верховного Совета СССР от 27 марта 1953 года.

Следует к месту жительства

В.Н.Норильск

Начальник. Отдела

Начальник. Отделения

865-0-20

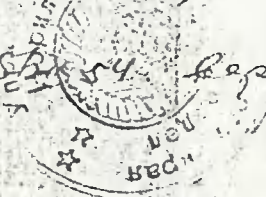
1/10/00

Спр. ел. и

Приветствую всех друзей!

Устав с де Устав.

15254. *Leptocarpus*



FORMA 24A

МИНИСТЕРСТВО
ВНЕШНИХ ДЕЛ
ВНЕШНЕГО
СВЯЗЕЙ
ВНЕШНЕГО
СВЯЗЕЙ

I-AG

1. 1954. СПРАВКА № 0002087 *

Выдана гражданину *Александровичу*
Александровичу *Александровичу*
1954 года рождения, урожен *с. Ситово*
автоматически *на* *момент*
гражданство *СССР* национальность *русская*
обученно *по* *указу* *Президиума*
об *суде*
« 29 » *марта* 1954 г. по ст. 633 *УК* *СССР*
к лишению свободы *на* *основании* *приговора*
имеющего в прошлом *судимость* *Рассе* *и* *судимости*

В том, что он *отбыл* *наказание* *в* *месте*
1. 1954 г. по *Указу* *Президиума*
Верхнего Совета *4 17 1954 г.* *ввиду* *смягчения* *судом*
30 5 лет *чел.* *без* *присл* *и* *по* *Указу* *от* *29 11 53 г.*
« Об *амниции* *освободить* *с* *судимости* *судимости*

1. 1954 г. *12 декабря* *1954 г.*
Внутренние дела *Татарстан* *Иркутская область*
Татарстан *Иркутская область*
Татарстан *Иркутская область*

Начальник *Иркутской области* *Иркутская область*
Начальник *Иркутской области* *Иркутская область*
Начальник *Иркутской области* *Иркутская область*



POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
Pełnomocnik Rządu do Spraw Repatriacji
Punkt Repatriacyjny
w

KARTA REPATRIACYJNA Nr 25285

Lotarewicz
1954
1954

Ob *Lotarewicz* *Grigorij* *S. Aleksandrow*
18. 1. 1923 *Троицкое пов.* *Иркутская* *Иркутская*
ЗСРР. *(рог и место рождения)*

прибыл(а) до Polski з *25. 1. 1954*
wraz z *не* *летним(и)* *(до 16 лет)* *дziećкием(ами)*
1) сын Lotarewicz Grigorij lat 8
2) дочь Lotarewicz Lidia lat 3.
(подать название, имя и возраст ребенка(и))

Dnia *22. 1954* *г.*
Obecnie udaje się do *Малбоек ул. Матвеева д. 13. м. 4.*
(дetailed address)

Zgodnie z Uchwałą Prezydium Rządu Nr 739/55 z dnia 10 września 1955 r. Prezydium Rad Narodowych, instytucje państwowe, gospodarcze i społeczne proszone są o udzielenie jak najdalej idącej pomocy okazicielowi niniejszego zaświadczenia.

Wydano dn. *22. 1954* *г.*
KIEROWNIK PUNKTU REPATRIACYJNEGO *А. Мухоморов*

UWAGA: Okazicielowi niniejszego zaświadczenia obowiązującej jest zgłosić się w ciągu 24 godzin po przybyciu na miejsce zamieszkania.

Выдано продовольствие на «...» суток с «...»

Выдано денежное пособие в сумме рублей.

(подпись)

Выдано денег на питание в пути рублей

(подпись)

Выдан билет на проезд до ст. ...

железной дороги стоимостью рублей или деньгами на билет

в сумме

(подпись)

Возвращено личных денег в сумме

Подпись начальника отдела (части)

Подпись начальника финчасти

Подпись освобожденного

Дата и подпись лица, производившего выдачу

Расписка освобожденного

Кисловик Виталий

Сумма 1100000000

3.000

222 419 000000000000

245 - 245

на ул. 125. бл. 4.

Хмельский 2

а-250 м. 4.

мелкие и др. др.

а-200 м. 12/37

дн. 20. III. 47

Хмельский 2

URZAD CENNY I CIENNY

658 663, 665

Wydano zaświadczenie
na kredytowany przejazd
przez bagaż Nr 245

1952

PREZYDENT
KOLEJOWOZNEJ BART
PREZYDENT
KOLEJOWOZNEJ BART



Паспорт
Норильской Республики
в СССР

Москва 22 ноября 1956 г.

Уполномоченный Правительства
по делам репатриции

№ 274 Д/171/56

Удостоверение

Согласно имеющимся данным Уполномоченного Правительства Норильской Народной Республики по делам репатриции польков из СССР граждан (ка)
фамилия **ЛОТАРЕВИЧ**
имя **Чеслав**
отчество **Александрович**
год рождения **1933**
место рождения **Новогрудская обл.**

Национальность **Польская**
проживает в СССР **г. Норильск, ул. Орджоникидзе 3, кв. 35**

состоит до 1949 года в польском гражданстве и проживал в Норильске
Семья вынужденно состоит из следующих лиц:

Степень родства	Фамилия	Имя	Отчество	Год рождения
жена	ТАДЗЕВА	Лидия	Васильевна	1933
сын	Лотаревич	Станислав	Чеславович	1947
дочь	Лотаревич	Лидия	Чеславовна	1953

Примечание: Не мог репатрироваться в 1945-46 гг. ввиду того, что находился в заключении за участие в АК. В Польше проживает родственники.

Проект выданному г. Лотаревич Ч.А. в удостоверение
попрещение в Польшу.



Уполномоченный Правительства
по делам репатриции
Калявинский Ст. Ян

МЦМ СССР

ГЛАЗНИКЕЛЬСБАЛЪТ

НОРИЛЬСКИЙ

ГОРНО-МЕТАЛЛУРГИЧЕСКИЙ

КОМБИНАТ

Отдел кадров

25 января 1957 г.

№ 84

г. Норильск, Красноярского края

Справка

Дана гр-ну (ке) Лотаревич
Чеславу Александровичу

в том, что он (она) действительно работал(а) в Норильском горно-металлургическом комбинате МЦМ с 21 октября 1949 г. по 26 января 1957 г.

В соответствии с пунктом 7 Указа Президиума Верховного Совета Союза ССР от 1-VIII-1945 г. "О льготах для лиц, работающих в районах Крайнего Севера", постановлением СНК СССР от 29-X-1945 года за № 2777, постановлением Совета Министров СССР от 10 июня 1946 года № 1184-492с при исчислении трудового стажа, дающего право на пенсию по старости, инвалидности и за выслугу лет один год работы гр-на(ки) Лотаревич Чеславу Александровичу начиная с 21 октября 1949 г. по 26 января 1957 г. засчитывается ему (ей) за два года.

Справка действительна при предъявлении трудовой книжки или другого документа, выданного взамен трудовой книжки.

Дана для предъявления

по месту работы

Начальник отдела кадров

Ленин

Г. Пенсиков